



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



WYBRZEŻA PANAMY.

Okolica ta, o której do niedawna nikt nie wspominał, wstawiona jest obecnie robotami przy kanale. Niedawno podawaliśmy czytelnikom krajobraz nadbrzeżny z posągiem Kolumba, a oto znów na dzisiejszym rysunku jest przedstawione miasteczko Bohio Soldado i rzeka Chagres, która wa-

żną także rolę odgrywa, ma być podobno włączona do kanału głównego i wodami swojemi go zasilić. Palmy, agawy, cudnie stroją brzegi rzeki, w głębi widać las większych rozmiarów. Na rzece robotnicy przewożą się promem, most bowiem długo utrzymać się nie może, zwykle go bystra woda wyrwa.

DO DZIEWCZYNKI.

Czy znasz ty powoje, co w drżące ramiona
Objąwszy szmat ziemi, doń tulą swe łona,
Kwiatami go darząc wonnemi?

I wierne mu zawsze, bo wichry i burze,
Co łamią zarówno, jak dęby, jak róże,
Powoje ku własnej gną ziemi.

I matką im ziemia, w ich własne spowita
Gałązki, i dla niej kwiat błądny rozkwita,
Śląc ku niej swą krąsę i wonie.

Lecz jeśli od łona tój matki, tój ziemi,
Do której on przyrósł ramiony wątlemi,
Niebaczne oderwą go dłonie;

Wśród świetnych cieplarni, w przepychu krainie,
On wonny kwiat traci, i więdnie, i ginie,
Z tęsknoty do własnej swój roli.

Gabryela Jasińska.

WSPOMNIENIA Z WAKACYJ,

Z DZIENNIKA MŁODEJ DZIEWCZYNY,

spisała Br. Kuczyńska.

(Dalszy ciąg).

Z tej ogólnej kłęski ocalała tylko czaszka poety, a to mianowicie tym sposobem, że poprzednio jeszcze, bo w końcu XVIII w. Tadeusz Czacki, miłośnik rzeczy ojczystych i twórca liceum Krzemienieckiego, zwiedzając Zwoleń, wyczytał na tabliczce cynowej nazwisko Jana Kochanowskiego. Trumna była otwarta, widząc to i obawiając się słusznie, aby drogie dla nas zwłoki nie przepadły bez śladu, wziął czaszkę i powierzył ją opiece ks. Izabelli Czartoryskiej, która natychmiast poleciła wykonać sarkofag misterny i złożyć w nim cenną pamiątkę. Po opuszczeniu Puław, księżęta Czartoryscy przewieźli większą część zbiorów z Sybilli i domku gotyckiego do Krakowa i tam w umyślnie na ten cel wystawionym domu umieścili. Sarkofag ten, w którym pierwotnie głowa była złożona, uległ zniszczeniu, ale przez Wł. Czartoryskiego, ówczesnego właściciela, została ta pamiątka przeniesiona do innego marmurowego, na wzór rzymskich wyrzeźbionego i w Krakowie możemy ją oglądać. Jaka szkoda, że główki uroczej Urszulki nie ma tam także.

Z wielką uwagą słuchałyśmy opowiadania, zajmowało mię niezmiernie, ponieważ obie mamy uwielbienie dla człowieka, który pierwszy prawie zaczął pisać po polsku, a pisał tak pięknie, jakby na najlepszych wzorach się kształcił. Trudno uwierzyć, że poprzednikiem jego był tylko Mikołaj Rej; i ten zapewne ma wielką zasługę, iż odważył się tworzyć swe poezye po polsku, ale trzeba dodać, że po łacinie nie umiał wcale, a Kochanowski władał doskonale tym językiem, nie używał go jednak. Czyżby „Treny” były tak znane i uwielbiane, gdyby nie w polskim były napisane języku? Nawet Urszulka nie miałaby tej sympatii, jaką posiada pomiędzy tymi, którzy znają te smutne pieśni pisane po jej śmierci.

Jan Kochanowski, nietylko jako znakomity poeta, zasługuje na uznanie, lecz także jako człowiek w życiu rodzinnym i społecznym. A sama śmierć jego czyż nie jest dowodem, jak czuł głęboko. Miał stanąć przed królem na zamku w Lublinie, aby na krzywdę, która szwagra jego Podlodowskiego od Turków spotkała, zanieść skargę. Niespokojny, czy król, a był nim dzielny Stefan Batory, dobrze go przyjmie, zarazem przejęty uwielbieniem dla tego monarchy, tak się tem przejął, iż u stóp prawie samego tronu zmarł nagle, mając zaledwie 54 lata. Umiano już wówczas ocenić jego zasługi, to też zgon znakomitego męża wywarł wrażenie w całym kraju, a cóż tam za smutek musiał zapanować w Czarnolesiu, gdy się dowiedziano o tej nagłej śmierci!

W bardzo poważnym nastroju zbliżyliśmy się do tej ukochanej siedziby poety, myśląc, jaki on tam musiał być spokojny i szczęśliwy, kiedy takie ciche, powabne opisywał obrazy; przyjmował przyjaciół zawsze szczerze i serdecznie, a miał ich niemało, między nimi i znakomitych, jużto uczyńnych, jużto mężów stanu, jaki Jan Zamoyski. Bardzo nam było przykro, że nie zobaczymy już owej lipy, pod której cieniem z gośćmi swoimi siadywał, pięknością jej się cieszył i w pieśniach opiewał. Spróchniała i ścięta, nie rozciąga już swych opiekuńczych ramion nad tymi, co przejęci ważnością miejsca tego, chcieliby podumać chwilę nad przeszłością. Smutna rzecz, że nie nie może się oprzeć czasowi, wszystko ulega zniszczeniu, a podobno też i kaplica i pomniki w Zwoleniu, bardzo potrzebują opiekuńczej ręki coby powstrzymała zagładę. Czy to się godzi, aby nos Jana Kochanowskiego na tym wspaniałym pomniku był odbity, a ściany odrapane i brudne?..

W Czarnolesiu jest na szczęście inaczej, a chociaż czas i tu nie uszanował wiele, jednak to, co pozostało, jest o tyle

o ile zabezpieczone od zniszczenia przez dzisiejszą właścicielkę, ks. Jabłonowską, która jakkolwiek nie mieszka tutaj stale, rozciąga swą opiekę nad wszystkim. Zdala już widać było duży ogród ze starymi drzewami, nie sięgają one tak dawnych czasów, chociaż kilka olbrzymich białodrzewów wprawiło nas w podziw niezwykłymi swoimi rozmiarami. Wysiedliśmy przed furtką z prawdziwym rozrzewnieniem weszliśmy do ogrodu, który zapewne i dawniej w tem samym istniał miejscu.

Zjawił się wkrótce jakiś staruszek i oświadczył nam, że nas oprowadzi i wszystko pokaże. Bardzo rade byliśmy temu, bo choć ojczulek dobrze znał to miejsce, ale zawsze przydał się ktoś, coby pootwierał wszystkie kryjówki, gdzie się owe skarby przeszłości mieszczą, a staruszek właśnie pobrękiwał kluczami, na znak, iż to jest w jego mocy. Na wstępie uderza oczy nowoczesny pałacyk, zbudowany na gruzach spalonego domu, stawianego przez Raczyńskich. Ponieważ niezbyt nas zajmowała ta budowla, więc szukałyśmy czego innego i zaraz spostrzegłyśmy z jednej strony ładną gotycką kaplicę, a z drugiej skromny, ciemny domek.

Kaplica jest zbudowana przez terażniejszych właścicieli, piękna bez zaprzeczenia, i wewnątrz i zewnątrz, ale nie zaciekała nas także, więc prędko wyszedłszy szukałyśmy naokół szczątków muru, pozostałego pewno z domu mieszkalnego, o ile można wymiarkować z opisu. Resztki te znajdują się tuż około południowej strony kaplicy i gęstą drewnianą kratą są zabezpieczone od zniszczenia; jest tego bardzo niewiele, widocznie rozebrano mury już dawno, a tylko przypadkowi można zawdzięczać ocalenie tego złomu. Mówią, iż fundamenta ciągną się ku sadzawce, znajdując się tuż o kilkadziesiąt kroków; było nawet wejście do piwnic z zakrystyi owej kaplicy, ale zamurowano je przed niedawnym czasem. Niewiadomo zupełnie, jakie rozmiary posiadał dom, w którym zamieszkiwał poeta z rodziną; domyślać się tylko można, iż nie musiał być mały, mieszcząc tyle osób stale, a że i przyjezdni nie rzadko się trafiali, więc i dla nich musiało być wygodne pomieszczenie w tak gościnnym jak Kochanowskich domu.

Mały, szary domek, który widziałyśmy zdaleka, jest siedzibą ks. Jabłonowskiej, gdy przyjeżdża na kilka tygodni w lecie. Mieści on w sobie wszystkie najcenniejsze pamiątki, bardzo niewiele niestety, ale przynajmniej pochodzenie ich żadnej nie ulega wątpliwości. Portret poety, przez jakiegoś owoczesnego malarza wykonany, fotel, a raczej krzesło z poręczami, skórą zieloną obite, ze złotymi odciskami; podanie niesie, iż na niem poeta pod swą ulubioną lipą siadywał, Urszulkę na kolanach trzymając. Trzecim zabytkiem są drzwi żelazne kute; znaleziono je podobno w piwnicy. Może zamykały wejście do skrytki z winami, albo później po spaleniu domu lub jakiego lamusu tam przeniesione zostały. Ze pochodzą one od Kochanowskich, to dowodzi herb Korwin, wykuty u szczytu; herb to był właśnie rodziny Kochanowskich, a że Czarnolesie po śmierci Jana przeszło w inne ręce, więc herb Korwin tylko z czasów dawniejszych mógł pozostać. Drzwi te w około są otoczone ramą drewnianą rzeźbioną, robota ta pochodzi już z czasów późniejszych. Prócz tych pamiątek, w domku znajdują się też zabytki po księciu Poniatowskim i Kościuszcze.

Wielkie wywierało na nas wrażenie to zwiedzanie i rozpatrywanie się w rzeczach, należących do tak rozmaicie zasłużonych ludzi; wszelka myśl pusta uleciała, a powaga i zastanowienie tak były widoczne na naszych obliczach, że aż stary służący się dziwił, a szczególnie mu się to niepojętem wydawało, gdyśmy zapisywały sobie niektóre szczegóły od niego zasłyszane. Zaprowadził nas potem na miejsce, gdzie stała owa sławna lipa; mieli ją też czem zastępować! Brzydki, szary obelisk z napisem „Orszuli” wznosi się tam, gdzie przez wieków tyle królowa lip szmerem swym i zapachem kwiatów napełniała ogród cały. Wcale a wcale nie podobał mi się ten pomnik, nawet patrzeć nań nie chciałam, tak mi się wydał nieodpowiedni.

Drzewa w ogrodzie wspaniałe, naprawdę dawne czasy

pamiętają, miło było pod ich cieniem posiedzieć trochę i popatrzeć na to Czarnolesie, o którym od dzieciństwa się tyle słyszało. Ojczulek rozmawiał z ogrodnikiem, a ja z Bronią na ustronnej ławeczce usiadłam i obie rozmyślałyśmy o tem, co słyszałyśmy przed chwilą. W bocznej uliczce, wiodącej od pałacyku, ukazały się dwie postacie, ale jakże niepodobne do tych, które tu przed trzystu laty zamieszkiwały, i mowa ich do ukochanej przez poetę nie była podobna: wido- cznie bona francuzka, ze swą uczennicą dażyły na po- obiedni spacer, spoglądając na nas ciekawie. Przyznam się, iż wolałabym była ich nie spotkać i nie słyszeć, tak dziwnie nieprzyjemne wrażenie ten dźwięk obcego języka wywarł na mnie.

Zaduma była przerwana, a i ojczulek zbliżył się wła- śnie, mówiąc, iż czas już wielki wracać, bo trzecia godzina, a że na piątą mieliśmy być w Puławach, więc tyle czasu po- zostaje, aby w porę zdążyć. Nietylko zamówiony obiad przy- czynił się do tego pośpiechu, choć tak dobrze nam było wśród tych starych drzew szumiących, lecz i ta okoliczność, iż na dziś jeszcze wieczorem ułożony był w drodze wyjazd do Nałęczowa, aby wypocząwszy przez noc doskonale, nazajutrz poświęcić czas na zwiedzenie bliższych okolic, a wieczorem być na upragnionym koncercie; na drugi zaś dzień o dwuna- stej podążyć na dworzec i może, może jeszcze choć na kilka godzin do Lublina wstąpić. Przejeżdżałam już nieraz blisko tego pamiątkowego miasta, a nigdy nie miałam sposobności go zwiedzić, to przecież wstyd; trzeba zawsze kuć żelazo, póki gorące, tak też i ja czyniłam. Gdy już pożegnawszy się ze staruszkami i z całym Czarnolesiem jechaliśmy z powro- tem, zrećźnie naprowadziłam rozmowę na Lublin i wypytu- jąc się o różne pamiątki, ubolewałam, że ich nie widziałam. Dowiedziawszy się, iż to miasto ma taką cechę starożytną, jakiej żadne z naszych miast w królestwie nie posiada, mia- nowicie aż trzy sklepione olbrzymie bramy pośrodku ulic, tak błagalnie spjrzałam na mojego nieocenionego ojca, że zaraz wyrzekł:

— O, uważam ja to, że moja córa coraz więcej widzieć pragnie; z Puław zrobił się i Kazimierz i Czarnolesie, i Na- łęczów, no, i Lublin, jak widzę, do całości przybyć ma jeszcze, no, przyznaj się otwarcie, Wańdziu!

Naturalnie, że wcale nie zaprzeczałam temu, i przyrze- czenie miałam już przed promem. W hotelu stół był nakryty i gdy tylko otrzepaliśmy się z kurzu, obiad podano, zasiada- my, aby z wielkim apetytem zabrać się do jedzenia, gdy za- turkotało coś przed gankiem i po chwili weszli do sali nasi znajomi z Kazimierza, którzy także udawali się do Nałęczo- wa na jutrzejszą uroczystość. Z początku miałam ochotę robić im wymówki, czemu nam nic o koncercie nie powie- dzieli, ale pokazało się, iż oni dopiero na owym obiedzie sami się o tem dowiedzieli, a że myśleli, by i nam tej wiado- mości udzielić, najlepszym jest dowodem, że umyślnie tak wcześniej tu przyjechali, żeby nas zastać i namówić. Widząc, że my już i sami powzięliśmy ten zamiar, ucieszyli się bardzo, a nie chcąc nam przeszkadzać w posilaniu się, wyruszyli na przechadzkę, gdzie i my zaraz po obiedzie mieliśmy podążyć. Wprawdzie gościnność nakazywała tych panów na obiad za- prosić, ale ponieważ zapewniali, iż są po obiedzie, a my, jak już wspomniałam, byliśmy bardzo głodni, więc gdy propo- zycja nasza odrzuconą została, załatwiliśmy się śpiesznie z naszym obiadem, a następnie, poleciwszy Adamkowi aby był gotów na wpół do siódmej i zaspokoiwszy wszelkie ra- chunki, z wielką przyjemnością udałyśmy się za naszymi to- warzyskami, czekającymi na nas w pobliżu i wraz z nimi obejrzałyśmy park cały.

W wagonie znalazło się dosyć miejsca dla nas wszyst- kich, więc w dalszym ciągu podróży było nam nadzwyczaj wesoło. Pogoda zapowiadała się na następny dzień przeszli- czna, słońce zachodziło bez chmur, dyny z wiejskich chat wznosiły się prostym słupem wysoko, spokojnie było i uro- czo dokoła. Na lewo od drogi żelaznej pokazano nam mia- steczko Końskowolę, które także dawniej należało do ks. Czartoryjskich; kościołek widać dobrze i cmentarz niewielki;

spoczywa tam jeden z poetów naszych, Kajetan Koźmian, który z początku mieszkał w Puławach, a później, dotknięty chorobą melancholii, przeniósł się do przyjaciela swego, proboszcza w Końskowoli i tu życia dokonał.

(d. c. n.)

Ze wspomnień myśliwca.

Polowanie było zawsze najmilszą moją rozrywką, od lat najmłodszych miałem pociąg do tego wrodzony, jak tylko wyrosłem z dziecinnych pukawek, zacząłem marzyć o strzel- bie prawdziwej, strzelbie, mogącej śmierć zadać skrzydlatym i czworonożnym stworzeniom. Nie byłem jednak okrutnym, nie pastwiłem się nigdy nad ptaszkami, nie dręczyłem kotów, lecz miałem widocznie żyłkę myśliwską, która zgadza się czę- sto z najlepszym sercem. Zaznaczam to w obawie, aby te krwiożercze moje upodobania nie pozbawiły mnie życzliwości młodych czytelniczek.

Skończyłem lat dwanaście i przybywszy na wakacje do rodzinnej wioski, przywożłem bardzo dobrą cenzurę. Dzia- dunio, mieszkający w domu moich rodziców, obdarzył mię za to upragnioną oddawna strzelbą. Opisać zachwycenie moje, uroczystą niepodobieństwem. Do dziś nie mogę zapo- mnieć uroczystej chwili, gdy dziadus wyniósł tę strzelbę, sta- rą, niezgrabną, roztrzęsoną, chociaż mnie się wydała prze- pyszną. Dziadunio zaopatrzył mię zarazem i w naboje, a strzelba ta nabijała się jakoś niezwykajnie, mnóstwo pałuk trzeba było nakładać do niej, kule zaś dawały się zastąpić żołędziami, orzechami i innymi podobnymi przedmiotami.

Domyślcie się zapewne, czytelnicy, że z gorączkową niecierpliwością pragnąłem teraz poprobać tej własnej swojej broni. Po obiedzie, gdy ojciec wyjechał w pole a dzia- dunio spać się położył, przewiesiłem przez plecy piękną torbę myśliwską, którą mi starsza siostra podarowała dla uzupełnienia mojego myśliwskiego rynsztunku, strzelbę wzię- łem na ramię i wyruszyłem „na polowanie”!...

Blisko domu naszego był piękny las, gdzieśmy często chodzili na przechadzkę, tam więc udać się zamierzałem. Ale szło mi o to, ażeby wszyscy domownicy widzieli mnie z bronią w rękę; zamiast więc wyjść wprost na pole furką ogrodową, a ztamtąd podążyć ścieżką do lasu, skręciłem przez podwórze, przeszedłem koło stajen i zabudowań gospo- darskich, kłaniałem się uprzejmie staremu Mateuszowi gu- miennemu, gospodyni Pokorskiej, zwalniałem kroku o ile możliwości, aby nawet i dziewczki folwarczne podziwiać mogły wspaniałą moją postawę.

Wydostałem się nakoniec na pole, już chciałem pośpie- szać do lasu, tam bowiem miałem nadzieję upatrzeć wspan- iałą jaką zwierzynę. Wyobrażałem sobie z jaką powagą przyniosę kucharzowi zabitego ptaka, a kto wie, może i za- jąca, jak powiem mu obojętnie, zwyczajnym zupełnie głosem:

— Proszę Wincentego upiec to na pieczyście.

A wtem, gdy wśród tych rozkosznych marzeń podska- kiwałem, spoglądając na wszystkie strony, czy nie napotkam jeszcze jakiego przechodnia, któryby mnie obejrzał w całej mojej chwale, spostrzegłem koguta, grzebiącego po ugorze. Zkąd mi ta szalona myśl przyszła, sam nie wiem, nie wy- szedłem, przecież z domu z zamiarem strzelania do domo- wego ptactwa, ale nagle ogarnęła mnie chętka niepohamo- wana sprobowania strzelby. Kogut stał nieruchomy prawie, nogami tylko grzebał, spuściłem strzelbę, wymierzyłem, po- wstrzymał się było nad siły... strzał rozległ się i serce moje uderzyło także, jak młotem, gdy ujrzałem padającego koguta.

Dziwne to jest naprawdę; gdym mierzył i za cyngiel ciągnął, zapomniałem zupełnie, co z tego będzie; nie przy- puszczałem zapewne, aby strzał mógł być śmiertelny. Prze- raziłem się na widok martwego koguta, biedak bowiem prze- wrócił się i nie dawał najmniejszego znaku życia. Po pier-

wszęj chwili przestraczu przyszło zastanowienie; co tu robić z tym trupem? Gdyby tak nadeszła Pokorska, miałbym się z pyszna, młody, prześliczny kogut jakiegóś niezwyčajnej rasy. Pięknę powodzenie myśliwskie!

Postanowiłem czytelnikom całą prawdę opowiedzieć szczerze, nie chcę się przedstawiać lepszym, niż jestem, wyznam więc, że w tym strasliwym kłopotcie najpierw pomyślałem o ukryciu *corpus delicti*, o zatarciu śladów mojego szaleństwa. Złożyłem więc strzelbę na ziemi, znalazłem stosowny kijek spłaszczony i w miękkim, piaszczystym gruncie wykopałem dołek, umieściłem tam szczątki nieszczęśliwego koguta, zasypałem je staranie i wyrównałem to miejsce, jak mogłem najlepiej.

Ale po tym nieprzewidzianym wypadku odpadła mi zupełnie ochota do polowania. Zabrawszy strzelbę, powróciłem wolnym krokiem do domu, wybierając tym razem ustronne przejścia, nie paradowając w rynsztunku myśliwskim około folwarku, gdzie mogłem się spotkać z gospodynią. Na szczęście nikogo nie spotkałem, bocznemi drzwiami dopadłem do mego pokoju i strzelbę powiesiłem na ścianie. Wcale nie byłem dumny z polowania, chociaż... nie spuđłowałem.

W parę godzin później dziadunio ukazał się na dziedzińcu, a ujrzawszy mnie w oknie, skinął, abym wyszedł do niego.

— Weź kapeluszy i strzelbę — zawołał, składając obie ręce w kształcie tuby.

Copravda rad byłem, że przecież pod opieką dziadusia tę strzelbę wypróbuję na seryo, groza po okropnym wypadku z kogutem zatarła się już trochę w moim umyśle, a roskoszy polowania nęciła tak serdecznie. Chwyciłem więc kapeluszy, torbę myśliwską, strzelbę, i z dobrą miną wyszedłem. Dziadunio gwiznął na wyżła Boja i ruszyliśny.

Troszkę mi serce zakołatało, gdyśmy przechodzili przez ugór, gdzie złożyłem w grobie szczątki mojej ofiary; lecz niepokój mój urosł wkrótce do najwyższego stopnia, gdy Boj, wyrwawszy się najprzód, pobiegł pędem prosto do miejsca, mnie jednemu dobrze znanego i zawzięcie grzebać zaczął pazurami, rozsypując ziemię dokoła, wietrzając nosem, okazując nadzwyczajne wzruszenie.

A wtem, wyobraźcie sobie zdumienie moje: wyżeł nagle odskokzył, jednocześnie zaś ozwał się pisk i kogut, trzepocąc skrzydłami, krzycząc w niebogłosy, wyrwał się z pod ziemi zaczął uciekać, jak szalony, na folwark. Strzelba moja nabita żołędziami, nie zadała widocznie śmiertelnego ciosu, biedny ptak był tylko ogłuszony, a ja go żywcem pochowałem. Byłby jednak zapewne zginął uduszony, gdyby go był pocziwy Boj nie uratował.

Co się działo ze mną, nie potrafię opowiedzieć. Wstyd i strach, przytomność mi prawie odebrały. Po dobrej chwili dopiero odważyłem się spojrzeć na dziadunia, z oczu mi wyczytał odrazu, że to moja sprawka, bo nie byłem kłamcą. Na pytania opowiedziałem całą prawdę, bez żadnych wykrętów, a mówiąc, mimowolnym ruchem przyciskałem strzelbę do piersi, jakbym się obawiał, żeby mi skarbu mego nie wydarto. Spojrzałem po raz drugi na dziadunia, śmiał się tak serdecznie, że aż za boki się trzymał. To mi dało trochę otuchy. Wszystko też szczęśliwie skończyło się na śmiechu, ja zaś tegoż dnia jeszcze okryłem się chwałą, położywszy trupem niewinne jakieś ptaszę leśne.

Minęło lat parę od tej najpierwszej myśliwskiej przygody, na miejsce owęj pierwotnej broni, nabijanęj żołędziami i kłakami, dostałem przepyszną dubeltówkę. Miałem ją właśnie wypróbować na walnym polowaniu, które ojciec mój wyprawiał przy końcu wakacyj w majątku świeżo kupionym i nieznanym mi jeszcze. Jeździłem z matką i siostrą niedzrową do Szczawnicy, nie miałem więc przez całe lato sposobności zapolować, a namiętność moja do tej rozrywki nie tylko nie ustawała, lecz wzrastała z wiekiem.

Ojciec na kilka dni przed polowaniem pojechał do owęj wioski nowonabytęj, aby przygotować wszystko na przyjęcie gości, nie było tam bowiem zbyt wygodnego domu, i matka

mieszkała w dawniejszym naszym majątku. Ja dopiero w przeddzień wybrałem się z jednym ze znajomych, mieszkającym w tamtych stronach i ten mnie na noc u siebie zatrzymał, bo przyjechaliśmy późno wieczorem.

Wioska mego ojca, do której udać się miałem, była już z tamtąd tak blisko, że nazajutrz raniutko, nie czekając przebudzenia gospodarza, wyruszyłem piechotą. Dzień był prześliczny, jak zwykle przy końcu lata; przybrawszy się w okazały strój i rynsztunek myśliwski, z przepyszną dubeltówką moją przewieszoną przez plecy, wesoło puściłem się przez pola i łąki, obficie rosą zwilżone. Ze wstydem wyznaję, że piękny krajobraz, widok lasów zielonych, ukwieconych niw, żadnego na mnie nie wywierał wrażenia; rzucałem tylko chciwie oczyma na wszystkie strony, czy nie obaczę jakiego stworzenia, czworonożnego lub skrzydlatego, zasługującego na nazwę zwierzyny.

Nie trzymałem się wcale ścieżek ubitych, brodziłem pośród traw wysokich, przedzierałem się przez gęszcye leśne, wkrótce też świeży, wykwintny mój strój mocno na tem ucierpiał. Zarosiłem się po kolana, na ciernistym krzaku rozdarłem rękaw, a tak zwieszony, wyglądał jak wyloty u kontusza; czapeczka spadała mi z głowy po kilka razy, zawsze tak nieszczęśliwie, że prosto w bagno, także więc była obłocna okropnie, słowem wyglądałem, jak nieboskie stworzenie.

A wtem, o radości nieopisana! spostrzegłem nagle zajączka, skulonego pod krzakiem i siedzącego tak spokojnie, jakgdyby nie przezuwał wcale, że taki Nemrod znajduje się w pobliżu. Wymierzyć, strzelić, było dziełem jednęj chwili. Muszę wam się przyznać, że chociaż z ową pierwszą strzelbina zawzięcie nieraz podczas wakacyj uwijałem się po polach i lasach, nigdy w życiu jeszcze nie udało mi się upolować zająca. Ptactwo mordowałem po trochu, lecz daremnie dotychczas wdychałem do pokonania szlachetniejszej zwierzyny. Ile razy wytropiłem zająca, zawsze mi uciekł z przed nosa.

Teraz jednak pocziwy ten zajączek siedział tak bliźutko, nie sposób, ażeby mi umknął. Musiał być chyba troszkę głuchy, jeżeli go nie spłoszyło bicie mego serca; ja je słyszałem tak wyraźnie, że aż mi w uszach tętniło. Jak uważnie mierzyłem, z jak uroczytnym uczuciem przyciskałem cyngiel, tego zapewne i opowiadać nie potrzebuje, każdy młodzieniec w tym wieku wejdzie w moje położenie. Strzeliłem i w oczach mi pociemniało w pierwszjęj chwili z wielkiego wzruszenia; gdym przejrzał wreszcie, ogarnął mnie żal szalony z rozpaczą graniczącą, dubeltówka nie lepiej się popisała od staręj, rozbitęj strzelby, zając zmykał w najlepsze!

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czynię, jak chart pomknąłem za nim. Nie mogłem uwierzyć, aby ta zdobycz, którą miałem prawie pod ręką, tak niezmiernie blisko, miała mi umknąć na dobre. Pędziłem więc, jak szalony, nie spuszczać z oczu zająca, i wkrótce z nieopisaną radością spostrzegłem, że biedak zwalniał biegu, jakby go siły opuszczały. Oczywiście strzał mój, jakkolwiek go nie zabił, postzelił jednak zwierzątko o tyle, że było znużone i widocznie słabło coraz więcej.

Rozpoczęła się szalona gonitwa przez pola, łąki, gęszcye leśne, co się stało z mojem ubraniem, to już zostawiam domyślności czytelników. Gdy nakoniec dopadłem zająca i obok niego, przyciskając go piersiami, osunałem się na murawę, nie mogłem przez długą chwilę tchu pochwycić. Czulem, że mi brak czapki na głowie, musiała zostać gdzie pod krzakiem lub w bagienku, oba rękawy zwieszały się w strzępach z ramion, spodnie były w stanie nie do opisania.

Lecz cóż to wszystko znaczyło? trzymałem zająca, nieszczęśliwiec wyzionął ducha i martwy leżał w objęciach moich, ja zaś jeszcze nie dowierzałem swemu szczęściu i ani na chwilę go z rąk nie wypuszczałem. Wypocząwszy nakoniec dostatecznie, wstałem i nadaremnie usiłowalem strój swój, tak świetny rano, doprowadzić do jakiegokolwiek porządku. Najsmutniejsza była zguba czapeczki, zacząłem więc szukać jęj pilnie pomiędzy krzakami, ale ponieważ nie mogłem odnaleźć drogi, którą biegłem bez pamięci przed chwilą, na nie się te poszukiwania nie przydały.

Nie było innej rady, postanowiłem iść dalej i starać się wejść do domu jakimi bocznymi drzwiami. Choć nie byłem tu nigdy, rozpytałem się o drogę u sług sąsiada i nie mogłem jej zmylić. Szedłem więc miarowym krokiem, niosąc w tryumfie zajaca, nie obawiałem się nawet zbyt licznych spotkań z ludźmi w przekonaniu, że ta przepyszna zdobycz nagradza wszelkie braki mojej toalety. A gdy tak z dobrą miną kroczyłem przez miedzę, nagle słyszę głos basowy, wołający w sposób wcale nie uprzejmy:

— A stójno, stój, hultaju ty jakiś! w biały dzień, w białusieńki rabuje zwierzynę i tak sobie spaceruje, jak właściciel.

szalonym pędem, jak podczas gonitwy za zajacem. Teraz ja byłem gonionym, tamci dwaj zaczęli biedz za mną, ale dogonić mnie nie mogli przez czas dość długi. Gdy już na stopy mi następowali, ujrzałem przed sobą o kilkadziesiąt kroków dom wiejski, wychylający się z pomiędzy kępy drzew wyniosłych. Aleja wysadzana topolami wiodła do niego, ani wątpić, to było mieszkanie mojego ojca.

Uniesiony najwyższą rozpaczą, spróbowałem ostatniego środka, wyjąłem portmonetkę z kieszeni, wysypałem z niej wszystką papierową i brzęczącą monetę, za którą conajmniej kilka takich zajęcy można było kupić i zwróciłem się do ich prześladowców.



Zbiór daktyli.

Ani mi w głowie powstało, żeby ta nieokrzesa mowa do mnie miała być zwrócona. Przez ciekawość jedynie odwróciłem się i ujrzałem dwóch ludzi, idących za mną; więcęj nikogo nie było do koła, oni zaś wzrokiem i gestami zwracali się do mnie, teraz drugi z kolei przemówił w sposób podobny:

— Takie to młode, a takie ladaco! Zkądże to ta strzelba, może także kradziona?

— Oddaj mi tu zaraz zajaca! — huknął pierwszy, widocznie jakiś gajowy, ze stroju to można było poznać, niósł też strzelbę na ramieniu. W jednym mgnieniu oka zrozumiałem grożące mi niebezpieczeństwo. Zabitem zapewne zajaca na obcym gruncie, ten straszny przedstawiciel władzy chciał mi go odebrać. Ratować tę cenną zdobycz, to była pierwsza, mimowolna myśl moja. Nie czekając zbliżenia gajowego, wzięłem nogi za pas i puściłem się znów takim

— Oto macie! — wołałem — zapłacę wam daleko więcęj niż wart ten zajac, tylko mi dajcie pokój.

Byłbym w rzeczy samej oddał jeszcze dwa i trzy razy tyle gotówki, gdybym ją miał przy sobie, byle uniknąć wstydu i nie utracić pierwszego w życiu zajaca. Ten wzgląd ostatni bodaj czy nie przeważał nawet, na samę myśl, że oni mi wydrą tę zdobycz, serce mi się ścisnęło boleścią nieopisaną. Ale ofiara moja okazała się nadaremna, powiększyła nawet gniew gajowego.

— Co to, przekupstwo? — wykrzyknął z oburzeniem najwyższem, nie widząc zapewne jak znaczną kwotę mu dawałem, bo byłoby go to zastanowiło i spostrzegłby może iż nie ma do czynienia ze zwyczajnym kłusownikiem, czyli rabusiem zwierzyny.

— Czy słyszyście, Macieju? — mówił dalej, zwracając

się do towarzysza — ten smarkacz mi chce zapłacić żebym go nie wydał. Nic z tego; nie wykręcisz się, pójdziesz z nami zaraz do dworu, ot tu niedaleczko, ztąd widać, niech pan sam rozsądzi, jakiej kary wart taki niepoń, jak ty.

— Co, co? — wykrzyknąłem wówczas z radością szaloną — do tego dworu, do tego pana? Ależ to dom mojego ojca...

Nagła zmiana, jaka nastąpiła w tej chwili w powierzchowności tych obu ludzi była tak zabawna, że pomimo frasunku i zmęczenia, rozśmiałem się serdecznie.

— Jezus Marya! Józefie święty! a toż panicz nasz, co go się pan wczora jeszcze spodziewał — wołał gajowy i przy-padając mi do kolan, żalonym głosem błagał — paniczu złoty kochany, niech mi panicz daruje, a toż ja mam czworo drobnych dzieci i żebym broń Panie Boże miejsce miał stracić, tobyśmy z głodu zginęli wszyscy. Cóż za bałwan ze mnie, co za głupiec stary, żeby panicza nie poznać!

Spojrawszy na strój swój, nie dziwiłem się wcale, że mnie biedak prędej brał za obszarpańca kłusownika, aniżeli za „panicza”. Uspokoilem go bardzo prędko co do utraty miejsca, a Macieja, jak się okazało stangreta, prosiłem, żeby mię jakim ukrytem przejściem przeprowadził do domu, chciałem bowiem uniknąć na razie spotkania z ojcem i gośćmi.

Nie udało mi się jednak sztuka, nie doszliśmy jeszcze do furtki ogrodowej, gdy ujrzałem tuż przed sobą liczne towarzystwo sąsiadów, zaproszonych na polowanie, ojciec oprowadzał ich po nowem gospodarstwie. Trzeba było wszystko opowiadać, tłumaczyć, bo strój mój oplakany na pierwszy rzut oka świadczył o nadzwyczajnych przygodach. Co było śmiechu moim kosztem, o tem już zamilczeć wolę.

Zbiór daktyli.

Owoce palmy daktylowej, znane u nas z bakalii, w wielu krainach zwrotnikowych, zwłaszcza w północnej Afryce, stanowią główny produkt żywności. Tam zbiór daktyli ma takie znaczenie, jak u nas żniwo. A niełatwe to zadanie, jak widzicie na rysunku, wspinać się na wysokie drzewa, zupełnie pozbawione konarów i gałęzi. Na szczęście pień czyli słupiec palmy ma korę bardzo chropowatą, więc nogi nie ześlizgują się i przy pomocy mocnego sznura wdrapywanie się na wierzchołek drzewa, gdzie dopiero z pod olbrzymiego parasola liści zwieszają się potężne grona owocowe, nie przedstawia niebezpieczeństwa, chociaż jest dość nużące.

Palmy daktylowe mają kwiaty rozdzielone, na jednych drzewach wyrastają same pręcikowe z pylnikami, te wcale nie wydają owoców, na drugich zaś same słupkowe, a na tych znów, pomimo obfitości kwiatów, owoc nie może się związać, jeśli życiodajny pyłek z pręcików na słupki w porę nie spadnie. Tam gdzie drzewa pręcikowe rosną obok słupkowych, wiatr przenosi pyłek z jednych na drugie, przyczyniają się także do tego owady i sprawa załatwiona. Ale Arabowie załują miejsca w ogrodach swoich na drzewa, nie wydające owocu, zazwyczaj też hodują tylko drzewa słupkowe. Gdyby nie zaradzili na to sztucznym sposobem, nie mieliby z nich żadnego pożytku, bo owoc bez pyłku nie związałby się wcale. Cóż czynią? Arab na dzielnym koniu pędzi do oddalonej oazy, gdzie rosną daktylowce o kwiatach pręcikowych, zrywa pęki ogromne tych kwiatów, starannie otulone przywozi do swjej siedziby i potrząsa pylniki ponad słupkowemi kwiatami swoich palm.

Przy takim postępowaniu urodzaj daktyli bywa daleko obfitszy, aniżeli w zwyczajnych warunkach, gdy rozsianie pyłku zależy od wiatru i owadów. Widzicie na rysunku, jak wyglądają grona owoców daktylowych; i kwiaty mają kształt podobny, zebrane są w kłosa odrębnego rodzaju, w botanice to się nazywa kolbą. Z naszych roślin krajowych tatarak

ma kwiaty w kolby zebrane. Palmy mają oprócz tego wspólne okrycie tych kwiatów, pochwą zwane, jest to coś nakształt tutki papierowej, używanej w sklepach do obwijania różnych przedmiotów. Znany kwiat doniczkowy, Kalla etyopska, odznacza się taką pochwą. Wyobraźcie sobie obfitość kwiatów, a tem samem i owoców daktylowych, skoro w jednej kolbie często naliczyć można 12,000 pojedynczych kwiatów.

GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

— Anglicy! — powtórzył młody kapitan, uśmiechając się tajemniczo — czy tak pewny jesteś, kochany doktorze, że wieści te są prawdziwe i że to w rzeczy samej Anglicy namawiają Tuaregów południowych do tych wojennych kroków?

— Czyżbyś pan inne miał przypuszczenia?

— Podejrzewam mocno, że to robota Prusaków. Oni tu w ostatnich czasach wciskają się wszelkimi siłami do środka Afryki, sadowią się, gdzie mogą, a ponieważ najdogodniej jest zawsze zagarnąć to, co już kto inny upatrzył i do porządku trochę przyprowadził, więc i oni wszędzie włączają w drogę innym narodom. Podróżnicy francuzcy największą mają sympatyą u krajowców afrykańskich, to też moja ojczyzna z łatwością pozyskałaby przewagę polityczną w tych państwach nad Nigrem, gdyby jej w tem nie przeszkadzano. Anglicy mają dość do roboty z licznymi swemi osadami, rozsypanymi we wszystkich częściach świata; wierzaj mi pan, to jest niezawodnie intryga pruska.

— Nie zaprzeczałem, bo pewny jestem, że p. Lemer cier lepiej odemnie zna się na polityce; pomyślałem jednak w głębi duszy, iż życzliwość ojczyzny jego Francji dla ludów i władców afrykańskich także nie jest chyba zupełnie bezinteresowną... Oj, ta polityka!

— W każdym razie — mówił dalej kapitan — czy z Niemcami, czy z Anglikami, czy z Tuaregami mieć będziemy do czynienia, warowne miasto Timbaktu gotowe jest na przyjęcie nieprzyjaciela, a sądząc z najświeższych doniesień naszych szpiegów, taniec rozpocznie się za dni kilka.

XI.

Rozpoczęcie kroków wojennych.

— No patrzcież państwo! — mówiłem sam do siebie po odejściu Francuza, którego odwołano w jakiejś ważnej sprawie — nieboszczyk nasz kapitan Raff toż samo utrzymywał, ciągle powtarzał, że Prusacy knują jakieś intrygi w Afryce. Ci wojskowi mają jednakowe wyobrażenia o rzeczach, jak się okazuje. Czy to tylko prawda? Bo Francuzi znów wszędzie, gdzie napotykają przeszkodę, widzą zaraz czychającego na nich Prusaka. Może to i moje urojenie, nic więcéj.

— Urojenie! Co też to panu w głowie urojenie! Na własne oczy widziałem.

Odwróciłem się i spostrzegłem idącego tuż za mną wujaszka Baka; widocznie podsłuchiwał mój monolog, bo półgłosem mówiłem; ale gdzież on na własne oczy mógł widzieć Prusaka?

— Jaktó! — zawołałem — widziałeś pan naprawdę?

— Przed godziną. Karol od kilku dni już widział i wyobraź pan sobie, nic mi nie powiedział, przypadkiem dopiero, szukając czego innego za laskiem palmowym, patrzę, oczom swym nie wierzę! Ci głupcy nazwać nawet nie umieją takiego skarbu; jeden z tych posługaczy powiada, że to „ka-

dena”, drugi, że „szabota”. Ba! mnie niełatwo w błąd wprowadzić, okiem tylko rzuciłem i od razu poznałem...

— Cóż pan poznał? — pytałem, bo że nie o Prusakach ani o polityce myślał w tej chwili pocziwy wujaszek Bak, to już zrozumiałem.

— Ach, co za okaz przepyszny! — mówił on dalej z zachwytem — oto mam tu gałązkę z liśćmi do zasuszenia; ale z tego pan jeszcze nie poweźmiesz wyobrażenia, jak wygląda *bassia butyracea*, drzewo maślane afrykańskie, najcenniejszy skarb Sudanu. Nazywają je także *bassia Parkii*, bo trzeba wiedzieć, że podróżnik Mungo Park najpierwszy piękne to drzewo odkrył.

Zapalony botanik powędrował coperdziej do domu, zapewne liście swoje szacowne chciał zaraz złożyć bezpiecznie w zielniku, nie przychodziło mu nawet na myśl, aby im tam zagrażać mogli Prusacy lub Tuaregowie południowi.

28 Stycznia wszystkie roboty były ukończone, miasto Timbukt, obwarowane doskonale, nie obawiało się zbytnej obłężenia. Timbuktukoj okazał mi to urzędownie szejkwowi. Tymczasem dni miały jedno po drugim, a wojska nieprzyjacielskie nie podsuwały się bliżej, przez szpiegów tylko wiedzieliśmy, że się gromadzą i szykują, lecz dość daleko od nas. To wyczekiwanie zaczynało być nużące, niecierpliwie wyglądaliśmy rozstrzygnięcia sprawy, skoro już była nieunikniona.

Nareszcie 27 Lutego dano znać, że przednie straże Aulimidenów posuwają się śpiesznie ku miastu, a oddziały wojskowe rozstawiają się w taki sposób, jakgdyby zamierzały nas otoczyć dokoła. Było to przewidziane, oczekiwaliśmy przecież obłężenia. Jak tylko timbuktukoj dowiedział się o tych ruchach nieprzyjaciela, natychmiast postanowił uprzedzić go i wyprawić swoje wojsko na wycieczkę zamiejską. Wybrał do tego niezbyt wielki oddział, złożony z 1500 jeźdźców Fulanów i 500 kopijników z meżnego plemienia Kel-Ulli.

Cały ten zastęp wojenny przedelfował najpierw przed wodzem, patrzaliśmy na to z okien naszych. Pod względem rozwinięcia umysłowego, Fulatowie czyli Fulani pierwsze miejsce zajmują niezaprzeczenie pomiędzy plemionami afrykańskimi. Wyraz twarzy ich jest niezmiernie ożywiony. Średniego wzrostu i tuszy umiarkowanej, rysy mają regularne, budowę ciała kształną, często bywają szczupli w stosunku do wzrostu, a cera ich przechodzi przez wszystkie odcienie miedziane i rabarbarowe. Są to potomkowie ludów, zwanych w starożytności *Pyrrii Aethiopes*. Ludzie ci uzbrojeni byli wszyscy w strzelby skałkowe i ogromne pałasze, które nazywali „tabokas”. Kapitan Lemerrier zaraz na to zwrócił uwagę, że broń ta była pochodzenia niemieckiego, miała na sobie znaki fabryczne, świadczące o tem dostatecznie.

Za tym oddziałem piechoty postępowała gromadka kobiet, niosących pakunki!... Czy widział kto co podobnego? A były to niewiasty potężnego wzrostu i siłą niezwykłą obdarzone. Płeć piękna w krainach nad Nigrem przeznaczona jest jak się okazuje, do dźwigania ciężarów; a ciężary to były nielada, nasi tragarze nie podołaliby im może łatwo.

Inny jeszcze dziwny szczegół zwrócił uwagę naszą w przyborach wojennych tego oddziału. Fulani są przeważnie mlekożerni, prowadzą więc za sobą... sędziacie zapewne, że stado krów albo kóz. Bynajmniej, oni żywią się mlekiem małp. Każdy wojownik miał na swój wyłączny użytek samiec małpi, i tak: za gromadką kobiet tragarzy, (uprzedzam czytelniczki, że nie mam tu na myśli żadnego nieprzyzwoitego porównania) podąża to osobliwsze stado mlekojącego stworzeń, prowadzi je w najzabawniejszy w świecie sposób stary samiec, ustrojony w dzwonki i tasiemki różnobarwne, w kapeluszu chińskim na głowie.

Pokładaliśmy się od śmiechu, spoglądając na pochód uroczysty tej afrykańskiej piechoty. Dowodził oddziałem człowiek biały, „rozynek”, do Imestana podobny i tak samo ubrany, nosił imię Sadaktu.

Wojownicy z plemienia Kel-Ulli są to Tuaregowie czystej krwi, wysokiego wzrostu i silnie zbudowani. Mają

piękne oczy i zęby bardzo białe; noszą długie wasy, włosy splecione w warkocz, po chińsku, kolczyki koralowe zdobią ich uszy. Ubiór składa się ze spodni europejskiego kroju, z „dzelaby”, sukni obcisłej, zrobionej z tkaniny kropkowanej, którą z tego powodu nazywają perliczką, „tekatkat”. Uzbrojeni są w długie włócznie, o końcach żelaznych, spłaszczonych przy nasadzie w sztylety i miecze potężne. Uzbrojenia tego dopełnia ogromna tarcza drewniana, obciągnięta skórą słoniową lub wielbłądzia, zahartowaną przy ogniu. Są to jeźdźcy, nie na koniach wszakże siedzą, lecz na wielbłądach z rasy „mehara”.

Wielbłąd mehara różni się od pospolitego pięknością kształtów, długą wysmukłą szyją, garb ma daleko mniej wydatny, lecz szczególnie nogi cienkie, zgrabne, nadają mu powierzchowność odrębną. Rasa ta, wysoko ceniona, nigdy nie bywa używana do dźwigania ciężarów, pod wierzch tylko służy. Zwyczajny wielbłąd, przy śpieszniejszej jeździe, nieprzyjemnie trzęsie, osoby nienawykłe do takiej podróży mogą od tego dostać morskiej choroby; mehara ma galop tak regularny, że z rumakiem arabskim może iść w zawody.

Oddziałem jeźdźców Kel-Ulli dowodził staruszek o długiej brodzie białej, dawny, wierny przyjaciel Achmeta el Baki, imieniem Itarelag — Idda. Ubrany był w obszerny burnus błękitny, narzucony na kolorową koszulę. Obuwia nie używał, na głowie miał zwyczajną „czeczają”, to jest mykę, owiniętą turbanem. Uzbrojenie jego składało się ze strzelby, i ozdobnie złoczonego miecza u boku. Jechał na pięknym koniu arabskim, ustrojonym w czaprak z purpurowego sukna i srebrne dzwoneczki. Patriarcha ten afrykański miał przy sobie trzech dorodnych synów, noszących imiona biblijne: Daniel, Saul i Samuel.

Cały ten oddział piechoty Fulanów i jazdy Tuaregów miał być wysłany na spotkanie nadciągających przednich straży nieprzyjacielskich i wydać im walkę wstępną. Dowództwo p. Lemerrier po długich wahaniach powierzył Imestanowi.

Wahanie to ztąd pochodziło, że podejrywał młodego wodza o niechęć dla siebie. Wszak był on niedawno współzawodnikiem jego do wysokiego dostojenstwa wielkorządcy, timbuktukoja. Imestan był ulubieńcem sułtana Ahmada, bawił dawniej na dworze jego w Hamd-Allahi, sprzyjał mu także i poseł sułtański Feredzi. Podczas owych wyborów „rozynek” miał za sobą tak wielkie stronnictwo, że byłby niezawodnie mianowany, gdyby ważne względy polityczne, wymownie przedstawione przez szejka, nie przeważały na stronę Francuza.

— Mamy do czynienia z Inglisami — mówił Achmet el Bakai — to naród mądry, naród europejski, trzeba więc z naszej strony postawić wodza równie mądrego i obeznanego ze sztuką wojenną Europejczyków.

P. Lemerrier wiedział zatem, że Imestan nie sprzyjał mu wcale, nie sądził jednak, aby osobiste uczucia miały nim powodować w walce z nieprzyjacielem kraju, to też po namyśle powierzył mu dowództwo, a przywoławszy do siebie, dał jeszcze ostatnie rozporządzenia w tych słowach:

— Słuchaj uważnie, El Hadzi Imestanie; ja jestem obecnie najwyższym panem miasta i całego wojska, jestem timbuktukojem. Winięś mi posłuszeństwo i głową odpowiesz, gdybyś rozkazów moich nie wypełnił święcie. Powierzam ci czynność bardzo ważną. Idź na czele tego oddziału do Taramtu, staraj się zaniepokoić nieprzyjaciela, powstrzymaj go w pochodzie, nie wydając jednak stanowczej walki. Zabierz z sobą Itarela. Nie gardź radami jego, on stary jest i doświadczony, posiwił na piaskach pustyni, nie wypuszczając z rąk włóczni. Tyś młodziak w porównaniu do niego. Przedewszystkiem ci zalecam ostrożność i umiarkowanie, nie narażaj się na bój stanowczy, bo byłbyś pokonany. Za godzinę wyruszaj.

Za całą odpowiedź, nowo-mianowany naczelnik oddziału ucałował z uszanowaniem rękę timbuktukoja i odszedł.

— Zrobiłem co mogłem — rzekł do mnie p. Lemerrier

— ażeby temu dzikusowi wbić dobrze w głowę, czego od niego żądam. Ale kto go tam wie. Nie wygląda na zbyt roztopnego i obawiam się bardzo, aby nie palnął jakiego baka...

W godzinę później oddział wojskowy wychodził z miasta przez bramę południowo-wschodnią. Było to 2-go Marca. Wojownicy rażno posuwali się drogą piaszczystą, pustą, gdzieś tylko urozmaiconą kępami kolczastych krzaków „karendży”; jest to gatunek szydlicy, *zizyphus*, z naszemi szakłakami blisko spokrewniony. Prawie każdy jeździec z plemienia Kell-Ulli prowadził za sobą charta, który często wskakiwał na wielbłąda i sadowił się za swoim panem. Fulanie szli pieszo, przygrywając na piszczałkach i bębnach jakąś melodyą podobniejszą do marsza pogrzebowego niż tryumfalnego, a jednak widocznie tem byli rozweseleni, niemniej jak i nieodstępna gromada małąp, które w podskokach biegly z tyłu, uganiając się za owadami po drodze. Ze smakiem szczególnym chrupały szarańcze, gdy im się udało je pochwyć.

Już dość daleko wojownicy nasi zapuścili się w głąb puszczy, gdy około drugiej godziny po południu powstrzymani byli w pochodzie, niespodzianie ujrzeni przed sobą niezmiernie stada zwierząt, które wprost na nich biegly, jakby oszalałe. Gazele, strusie, antylopy, bawoły, słonnie, dziki, wszystko to gromadami pędziło gwałtownie, jakby uciekało przed pożarem stepowym lub inną straszną klęską. Wszystkie gatunki zwierząt zwrotnikowych zbiegly się razem, wspólnem niebezpieczeństwem jakimś wyparte ze swych dzieł.

Oddział wojskowy musiał więc przystanąć rad nie rad przed tą nawałą, zwłaszcza, gdy stado olbrzymich słoni przeciągało ociężałe w poprzek drogi; pochód ich trwał przeszło pół godziny. Wreszcie gromady zwierząt przerzedzać się zaczęły, wojownicy ruszyli dalej. Wkrótce domyślili się powodu niezwykłego tego popłochu, ujrzeni bowiem w odaleniu liczne wojska nieprzyjacielskie. Imestan poznał Auelimidenów, szykujących się pod osłoną lasu czuzków i akacyj. Oni także spostrzegli przeciwników i śmiało czekali spotkania z nimi.

Tu wódz, zaszczycony zaufaniem timbuktukoja, popełnił pierwszy błąd bardzo ważny. Powinien był przede wszystkim wyjąć z pokrowca wyborną lunetę, którą właśnie przy odjeździe otrzymał w darze od dostojnego zwierzchnika. Byłby się przekonał zaraz, że nieprzyjaciel znacznie liczniejsze od niego miał wojsko więc podług wyraźnych rozkazów, które przysiągł spełnić święcie, Imestan powinien był natychmiast się cofnąć i nie narażać małego swego oddziału na spotkanie z przemagającą siłą.

(d. c. n.)

SZARADA (Pegaz skrzydlaty).

Ująwszy *pierwsze* mój *drugi* w dzielne dłonie,
W Habsburgów stolicy wślawił się obronie;
Mężny *pierwszy drugi*, cały też nie zerem,
Słowackiego bowiem znów jest bohaterem.

Łamigłówka w trójkacie.

(Od Niezabudki czeskiej dla Szarotki z Zakopanego).

M. A. K. T. A. N. E.
Z. B. A. R. A. N. I.
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....

Zapełnić kropki literami, aby rząd pierwszy oraz pierwsze litery utworzyły nazwę pięknej górskiej okolicy. Znaczenie wyrazów w dalszych rzędach: 2. Patriarcha starożytny. 3. Miasto w królestwie polskiem 4. Uczucie niemile. 5. Narzędzie stolarskie. 6. Imię żeńskie. 7. Przyimek. 8. Samogłoska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 29-go.

Łamigłówki głoskowej:

Lica—Lida—Liga—Lira—Lipa—Lila—Lina—Lima—Liwa *)—Liza.

Synonimów:

Król—Arka—Las—Islam—Naród—Kolor—Asteroidy.
Kalinka.

ZAKŁAD NAUKOWY ŻEŃSKI Leonji Rudzkiej

Przyjmuje uczennice na stałe i przychodnie. Zapis uczennic rozpocznie się z dniem 20 Sierpnia.

Wiadomość przy ulicy Wielkiej Nr. 42, i ulicy Zielnej Nr. 13.

MARJA MATUSZEWSKA

PRZEŁOŻONA PENSJI ŻEŃSKIEJ

przy ulicy Leszno N. 28. w Warszawie.

Zawiadamia, że zapis uczennic przychodnich i pensyonek na warunkach przystępnych rozpocznie się dnia 23-go Lipca (4 Sierpnia) i odbywać się będzie codziennie od godziny 9-jej do 4-jej.

*) Liwa jest to nazwa turecka generała brygady.

TREŚĆ: Wybrzeża Panamy (z drzew.) — Do dziewczynki, wiersz p. Gabryelę Jasienską. — Wspomnienia z wakacyj, spisała Br. Kuczyńska (c. d.) — Ze wspomnień myśliwca. — Zbiór daktyli (z drzew.) — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej (c. d.) — Łamigłówki, rozwiązania. Dodatek: Kasia, wiersz (z drzew.) — Opowiadania mamy p. Z. Bukowiecką. — Sumiennosc nagrodzona. — Dobry pomysł. — Opowiadanie jaskółki, napisała Marya z Grabowa. — Łamigłówka i rozwiązanie. Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów, p. Michalinę Zielińską.

Że nad wszystkich ziem branki,
Milsze laszki kochanki,

To jednak tysiące tych Laszek, to jest Polek, jęczało w niewoli litewskiej i czekało ratunku od swego króla, żeby móż wrócić do matek, co płakały za niemi, tak jak i jabym płakała, gdyby mi kto ciebie zabrał. Najwięcej nieszczęśliwych polskich więźniów było zamkniętych w mieście litewskim Wilnie, które dopiero budowano.

Był wtedy księciem litewskim bardzo sławny rycerz, nazywał się Gedymin. Był poganinem, ale nie dokuczał chrześcijanom, owszem pozwalał im stawiać kościoły i modlić się w nich do prawdziwego Boga. Raz zmęczony polowaniem usnął w lesie, i śniło się mu, że gromada wilków okrytych w żelazne pancerze napadła na niego, a on, zuch nawet we śnie, odpędził i pobił potwory.

Długo myślał Gedymin, co ten sen znaczy, bo poganie w sny wierzyli, dopiero wielki kapłan, poganin także, wytłómaczył mu, że bogowie chcą, żeby w tem miejscu wybudował miasto. Wilki żelazne miały znaczyć Krzyżaków, którzy tak samo Litwinom, jak i nam dokuczali.

Usłuchał Gedymin rady kapłana, a że rada była dobra, nazwał go Radzi-wilłem; spamiętaj to nazwisko, Stasiu, bo kiedyś opowiem ci o ślicznej królowej, co się także tak nazywała, bo z téj samój była rodziny.

Zaczęto więc stawiać miasto, miało być wielkie i mocne, mury je otaczały, żeby wilkom Krzyżakom obronić się mogło, a do stawiania tych murów, do kopania wałów, używano biednych jeńców, zabranych tu z Polski i przypędzonych gwałtem.

Mieszkali ci nieszczęśliwi w nędznych budach z ziemi i gałęzi, jedli suchy i często zgniły i spleśniały chleb, a do roboty zapędzano ich bijąc nietościwie, to tak wtenczas nawet chrześcijanie obchodzili się z zabranym na wojnie ludem. Strach pomyśleć, jak okropny był los tych więźniów; głodni, pół nadzy, bici, marzli, tęsknili za Polską, za rodziną. Aż niespodzianie zesał im Bóg opiekunkę i pocieszycielkę.

Gedymin miał córkę młodziutką, bo piętnaście lat wtedy dopiero liczyła dziewczeczka. Zwała się Aldona, była piękna i dobra, a tak pieśni lubiła, że zdaleka przyjszcie jęj odgadnąć było można po śpiewie i po dźwięku dzwoneczków, które Litwinki zwykle nosiły przy ubraniu, na znak, że nic takiego nie robią, z czemby się ukrywać potrzebowały. Aldona nie umiała po polsku, ale słuchała chętnie pobożnych pieśni, śpiewanych przez jeńców polskich i nieraz łzy płynęły po jęj twarzyczce, tak litowała się nad tą gromadą nieszczęśliwych, co pracowali nad siły i znosili nędzę. To też jak tylko słońce wschodzące obudziło księżniczkę, biegła ona zaraz na wały słuchać, jak pędzeni do roboty polscy jeńcy śpiewali pieśń Boga rodzica, tę samą, którą Ś-ty Wojciech ułożył, biegła, a służące niosły za nią kosze z jedzeniem, i szmatki do owijania ran, i leki różne dla cho-



KASIA.

„Wszyscy dzisiaj przy żniwie,
„Ja próżnować nie mogę;
„Wszakże żyję szczęśliwie,
„Pójdę w pracy pomogę!”

I to rzekłszy, Kasia mała
Pozbierała w polu kłosa,
Dwa z nich pęki uwiązała,
Otrząsnęła z mokrej rosy;
Potem wzięła w ręce silnie,
Poniosła je do mateczki;
Pracowała bardzo pilnie,
Lecz dziś za to ma bułeczki.

Z. Morawska.

OPOWIADANIA MAMY.

Pogańska księżniczka.

Zanim dalej opowiadać ci będę, Stasiu, o tem, kto po Łokietku rządził w Polsce, muszę wprzód przypomnieć, z jakimi krajami graniczyła nasza ziemia, to jest jakich miała sąsiadów. Na zachód siedzieli Niemcy, o tem nasłuchałeś się odemnie nieraz, ale na południe byli Węgrzy, a na wschód Rusini i Litwini. Otóż Łokietek, chcąc żyć w zgodzie z tymi sąsiadami, wydał zamąż córkę swoją Elżbietę za króla węgierskiego. Huczne było wesela, pito sławne zawsze u nas węgierskie wino, o którym mówiono, że się rodzi w Węgrzech, ale wychowuje w Polsce, bo kupcy krakowscy w wielkich lochach doskonale przechowywać je umieli.

Żyliśmy więc w zgodzie z Węgrami, ale Litwini dokuczali nam nieraz, napadali, rabowali i porywali, a chociaż, jak w ślicznym wierszu, który znasz, mówili:

rych. Ale tylu było głodnych i cierpiących, że biedna księżniczka uciekała z płaczem, bo byłaby chciała wspomóc wszystkich, a tu tysiące nieporatowanych zostało.

Aż naraz zajeżdżał przed wileński zamek wspaniały orszak. Naprzód jechali trębacze, trąbiąc i prosząc żeby im bramy otworzono, a potem rycerze wspaniale ubrani, na koniach aksamitnymi czaprakami okrytych, a z sukien rycerzy, z uprząży koni, kapoła złoto, świeciły brylanty, bo to posłowie Łokietka przyjechali do Giedymina, żeby z nim przyjaźń zawrzeć i dla lepszej zgody zaswatać śliczną Aldonę z synem Łokietkowym, Kazimierzem. Widzę, że się bardzo zdziwiłeś, bo Aldona była poganką, ale mówiłam ci już, jak to Giedymin wcale chrześcian nie prześladował, więc Łokietek myślał, że dobry ojciec pozwoli córce nauczyć się o prawdziwym Bogu i chrzest przyjąwszy zostać matką polskiego narodu.

A dobrą miała być matką, bo czy wiesz, Stasiu, o co Aldona ojca przy odjeździe prosiła? Oto żegnając się i płacząc, gdyż smutno jej było opuszczać ukochane swe Wilno i rodziców, padła do nóg Gedyminowi i błagała go, aby razem z nią wrócili do Polski jeńcy, którzy jęczeli w niewoli.

Nie mógł ojciec odmówić prośbie córki. Dwadzieścia cztery tysiące kobiet, starców, dzieci, co wśród obcych podrosły i już prawie młodzieńcami się stały, otoczyło Aldonę 24,000! czy byłbyś wstanie, Stasiu, policzyć tylu biedaków!

A teraz pomyśl, ile to szczęścia, ile błogosławieństw przyniosła z sobą ta dobra litewska księżniczka. Ochrzczono ją w Krakowie 30 Kwietnia, na świecie zazieleniła się ziemia od wiosny, ale razem z kwiatami i zbożem odżyły tysiące stęsknionych serc, bo im wrócili ukochani.

Tyle to szczęścia sprawiła jedna pogańska dziewczeczka, bo choć poganka, umiała kochać i litować się nad nieszczęśliwymi.

Z. Bukowiecka.

SUMIENNOŚĆ NAGRODZONA.

Helenka była raz z ciocią w botanicznym ogrodzie i w Łazienkach. Ciocia zatrzymała się obok kobiety, sprzedającej pierniki i kupiła dla Helenki duży, lukrowany piernik. A wtem odezwał się za niemi głosik dziecinniej:

— Daj, daj! Luni daj daj!

Helenka odwróciła się i obaczyła niedużą dziewczynkę, trzymającą na ręku małe dziecko. Ono to wołało, wskazując na pierniki: „daj daj!” Ale młodziutka piastunka śpiesznie odeszła, usiłując zabawić dziecinę, zapewne nie miała za co piernika kupić.

— Ciociu — rzekła Helenka — ja mam złotówkę, czy pozwoli ciocia kupić temu dziecku pierniczek?

— Czemuż nie — odpowiedziała ciocia.

— A może lepiej dam tej dziewczynce złotówkę — mówiła Helcia — to kupi parę pierniczek i schowa sobie resztę.

Pobiegła za dziewczynką i powiedziała uprzejmie:

— Ta malutka, pewnie siostrzyczka twoja, chciała pierniczka, nieprawdaż?

— A tak, proszę pani — odpowiedziała tamta — ale ja nie mam na to pieniędzy. Nic to — dodała, kiwając główką, jakby na pożegnanie — ona już zapomniała.

I chciała odejść, lecz Helenka znowu za nią podbiegła i podając pieniądz, rzekła:

— Proszę ciebie, moja dziewczynko, kup jej pierniczek, niech to będzie odemnie.

— O, dziękuję pani — zawołała dziewczynka uradowana, wzięła złotówkę i zawróciła się w stronę, gdzie siedziała sprzedająca kobieta, a dziecko zrozumiało, o co idzie, klaskało w rączki i wołało:

— Daj daj! daj daj Luni!

Helenka przechadzała się z ciocią dosyć długo po parku, gdy już wychodziły w aleję, zabiegła im drogę taż sama dziewczynka z dzieckiem na ręku i podała Helence parę miedziaków, mówiąc:

— Tak szukałam pani — tak szukałam, nie mogłam znaleźć. Proszę resztę.

— Jaką resztę? — spytała Helenka.

— A no z tej złotówki. Pierniczki nie takie drogie, kupiłam aż dwa dla Luni, a to zostało.

Helenka chciała powiedzieć dziewczynce, że ona całą złotówkę jej darowała, że nie odbierze tej reszty, ale ciocia ścisnęła ją za rękę, nie dając mówić, sama zaś wzięła pieniądze od dziewczynki i powiedziała:

— Dobrze, moje dziecko, dwa pierniczki, to dosyć na raz. Ale powiedz nam, gdzie mieszkają twoi rodzice i co porabiają?

Dowiedziała się ciocia, że matka dziewczynki jest ubogą wdową, wyrobnicą, cały dzień pracuje za domem, a ona, choć jeszcze taka młoda, dogląda młodszej siostrzyczki i nawet jeść dla niej i dla siebie gotuje. Ciocia zaraz dnia następnego poszła do wskazanego mieszkania, zaopiekowała się tą biedną rodziną, dla matki znalazła taką robotę, że mogła nie wychodzić z domu i sama dziecka dojrzyć, a starszą dziewczynkę oddała na naukę do szwalni.

— Takim ludziom, którzy pracować mogą — mówiła ciocia — lepiej dać zajęcie, aniżeli jałmużnę.

Nie przyszłoby jednak było na myśl cioci dopomóc dziewczynce, gdyby była nie odniosła owiej reszty i nie okazała tym sposobem, że jest uczciwą i sumienną.

DOBRY POMYSŁ.

— Jutro imieniny Tadzia — rzekła Anusia — za moje oszczędności kupiłam przepyszny psa i oddałam go mamie do schowania, żeby nie popsuła oglądając. Wyobraź sobie, jest taki duży, jak moja pięść prawie, ma czerwoną przepyszną obrózkę na szyjce i szczeka zupełnie, jak prawdziwy pies. Oddałam za niego w sklepie wszystkie pieniądze. A ty, co dasz Tadziewi na imieniny?

Karluś ciężko westchnął:

— Nic mu nie mogę dać, bo nie mam za co kupić, nie mam ani grosza — odpowiedział, smutno główkę spuszczać. Anusia zdziwiła się bardzo:

— Jakże to być może? Cóż się stało? — spytała — wszak miałaś więcej odemnie pieniędzy, cożes z niemi zrobił?

— Kupiłem sobie piłkę, bacik, bęben, konika, piszczałkę i cukierków... i wszystko wydałem.

— To nie dobrze — pokręciła główką Anusia — nie powinieneś być wszystkiego wydawać na własne przyjemności. Widzisz, teraz nie masz na podarunek dla Tadzia, a to będzie biedaczkowi bardzo przykro, gdy nic od ciebie na dowód pamięci nie otrzyma.

Karlusiowi było także przykro i bardzo przykro poszedł więc do ojca po radę:

— Ojcze — rzekł — bądź łaskaw dać mi kilka złotych, żebym kupił podarunek dla Tadzia na imieniny.

— Jeżeli ja dam na to kilka złotych — odpowiedział ojciec — to będzie znaczyło, że ja Tadziewi daję podarunek, nie ty; ten obdarza kto podarunek kupuje za własne swoje pieniądze. Zastanów się nad tem.

Karluś zastanowił się i zrobiło mu się jeszcze bardziej przykro; gdyby był dawniej o imieninach Tadzia pamiętał, byłby z pewnością wołał obejść się bez bębena i bez piłki, a nawet i bez konika, byle tylko pieniędzy na podarunek oszczędzić. Cóż, kiedy o tem zapomniał, a teraz po niewczasie na nic się już nie przydało żałować. Karluś zapłakał pocichutku nad własną nierozumą, ale potem, namyśliwszy się, otarł oczy i poszedł prosto do swego pokoju, wy dostał arkusz białego, grubego papieru i ołówek, położył przed sobą książkę z obrazkami zwierząt i zaczął na białym arkuszu różne zwierzęta na wzór tamtych rysować.

Rysował długo i bardzo uważnie, potem zaczął to wycinać nożyczkami jeszcze uważniej, aby słoniowi nie uciąć trąby, albo psu nogi, albo szyi żyrafie. Nawycinawszy mnóstwo zwierząt, lwów, baranów, kozłów, kotów, koni, tygrysów, Karluś ponaznaczał im jeszcze ołówkiem oczy, nosy, grzywy, kudły, jak wypadało wedle wzoru w książce, potem ponaginał im troszkę nogi tak, aby stać na nich mogły i poustawiał je na stole: była tego spora na dużym stole gromada.

— Kto wie, może to się i podoba Tadziewi — powiedział Karluś sam do siebie zakłopotany, ale i pełen nadziei zarazem, przypatrując się swojej robocie. Wreszcie pobierał całą tę menażeryą i poukładał w duże pudełko, a gdy nadeszły imieniny, ofiarował całe pudełko Tadziewi.

— A to co? — zawołał Tadzio zdziwiony — miałem już różne zabawki, ale takich jeszcze nie widziałem. Jeżeli to sam Karluś wszystko zrobił, toż dopiero braciszek kochany, kiedy dla mojej przyjemności tak się napracował!... dziękuję, kochany braciszku! — I ścisnął Tadzio Karlusia, który rumieniając się powiedział:

— Ależ ja tylko z wielkiej biedy taki nędzny podarek ci dałem, braciszku, bo, bo... zapomniałem o twoich imieninach i wydałem dla siebie wszystkie pieniądze, a ojciec pożyczyć mi nie chciał.

— To dobrze, że nie chciał, bo cokolwiekbyś mi kupić — odpowiedział Tadzio — byłoby to zawsze kupio-

ne za ojca pieniądze, więc choćby mi twój podarunek był najmilszy, choćby był taki śliczny, jak ten przepyszny pies, który tak na nas szczeka, to jeszcze miliej mi jest, żeś mię obdarzył własną swoją pracą. Tem dopiero dowiodłeś, jak mię kochasz, kiedy ty, taki swawolnik i pustak, pracy i trudu dla méj uciechy nie żałowałeś.

OPOWIADANIE JASKÓŁKI,

napisała **Marya z Grabowa.**

(Dokończenie).

Ach! jakże błagalne zwracałam na niego spojrzenie! jak bolesna skarga brzmiała w mym głosie! Lecz któż zrozumie mowę biednego ptaszka, a ja nic więcej powiedzieć nie umiałam tylko pi pi pi! Na każdy jęk, pisarz zaciskał lepiej dłoń swoją, żebym przypadkiem mu nie uciekła, to też nawpół żywą przyniósł mnie do pokoju, gdzie troje dzieci z ciekawością mnie otoczyło.

— Żywy ptaszek! — wołało dwoje dzieci, dziewczynka i chłopczyk, klaszcząc w ręce.

— Mamusia nie pozwala wchodzić ptaków, ale jak dziś wieczór powróci, to ją może uprosimy; znajdzie się klatka, wsadzimy do niej jaskółkę, toż nam dopiero śpiewać będzie!

— Ptapta! ptapta! — wołał dwuletni Julek, wyciągając rączki. Niańka, dziewczyna o bezmyślnych oczach zażądała, żeby mnie jęj oddano na chwilę w opiekę, a chcąc ucieszyć paniczka tą żywą zabawką, przywiązała długą nitkę do mojej nóżki i zaśmiewała się potem, gdy czując się swobodniejszą, zrywałam się do lotu.

Nareszcie chłopczyk wypuścił nitkę; już go zajął piesek, który wszedł do pokoju; na ptaptę nie zwracał uwagi, z czego korzystając, rozwinęłam skrzydełka i pofrunęłam do drzwi balkonu. Tam, za szybą widniał ogród, tam niedaleko altana i gniazdko moich dzieci. Ach! z jaką siłą rzuciłam się ku szklanéj tafli, która mnie dzieliła od wolności! Zdawało się, że miłość do dzieci da mi moc przebić tę zaporę, lecz w téj chwili dziesięć rąk ze szcotkami i chustkami posunęło się ku mnie. Usłyszałam głośnie krzyki:

— Jaskółka ucieka! nie daj! łapaj!

Przerażona, straciłam głowę i jak martwa upadłam na posadzkę...

Jak długo tak pozostałam, sama nie wiem, lecz lepiejby było, gdybym już więcej nie oglądała tego świata; nie byłabym przeżyła tylu męczarni. Dla bezpieczeństwa umieszczono mnie w złoconéj klatce, za bytku po jakiejś papudze faworytce, która zakończyła swe półwiekowe życie. To są ptaki stworzone do niewoli, strojne w barwne pióra, bezmyślne, złośliwe, są bardzo rade gdy ludzie wychwalają ich upierzenie, dają im smaczne kąski i bawią się z niemi. Ale my jaskółki, skromne, ciche, inaczej pojmujemy szczęście!

Dla mnie w téj chwili owa świetna klatka była ponurem więzieniem, te wszystkie łakocie, których dzieci tam nakładły nie nęciły mnie wcale, a choć od rana nic nie jadłam, kropli wody przełknąć nie byłam w stanie.

W uszach moich wciąż dźwięczał żalostny głos dziątek, a ta myśl, że one są głodne i opuszczone do rozpaczny mię doprowadzała.

— Panno Waleryo — odezwały się dzieci do jakiejś starszej osoby, która, jak się dowiedziałam, była ich boną — czemu ta jaskółka nic nie je? Ma sałatę, ma cukier, siemię, chleba okruszyny, czy to ptakom nie smakuje?

— Owszem—odpowiedziała panna Walerya—wróble chętnie jedzą chleb i siemię, kanarki bardzo lubią sałatę i cukier, ale jaskółki żyją muszkami i robaczkami.

Dziewczynka w tej chwili poskoczyła, pokręciła się żwawo po pokoju i powróciła z kilku muchami w ręczce.

— Jedz, ptaszku, jedz — mówiła pieszczotliwie; lecz i ten pokarm był mi obojętny. Z jękiem odezwałam się do niej:

— Ach! puśćcie mnie do moich dzieci! — a widząc, że mnie nie rozumie, rozpaczliwie tłukłam się o szczeble klatki.

— Zostawmy ją spokojnie — odezwał się chłopczyk — może ona się nas lęka i dlatego nic nie je; jutro pewno będzie weselsza.

Odeszli, a dla mnie zaczęła się noc długa, straszna, bez końca!... Dziobkiem chciałam rozerwać pręty mego więzienia, lecz nadaremnie. Kaleczyłam sobie pazurki, a tu z ogrodu dolatywał śpiew słowika, jakby urągał mojej męce. W rozpaczny uderzałam raz po raz główką o klatkę, chociaż wiedziałam, że to się na nic nie przyda.

Nareszcie zajaśniał dzień śliczny, pogodny, usłyszałam ruch w domu, gwar dziecińczych głosów, widocznie wszyscy już powstawali. Niedługo do tego pokoju, gdzie byłam z klatką umieszczona, weszła poważna osoba miłej powierzchowności, matka owych dziątek, którym mnie ów nielitościwy człowiek podarował i ze współczuciem spójrzała na mnie.

— Biedna ptaszyna! — odezwała się do dzieci — wiecie, jak nie lubię ażebyście męczyli niewinne stworzenia. Bóg im dał życie żeby sobie bujały swobodnie, a wy zamykacie je w klatce nielitościwie. A może ta ptaszyna ma w gniazdku pisklątka, które na nią głodne czekają? — dodała smutnym głosem. Snać sercem matki poznała we mnie też matkę. O, jakże jej byłam wdzięczna! Boże, strzeż jej złotowłose dziecińcy od złej doli, pomyślałam, a w tej chwili uczułam się swobodną na jej ręce i z okrzykiem radości pofrunęłam tam, gdzie mój skarb, moja cała pociecha została.

Niestety! co za straszny widok przedstawił się oczom moim! Już tylko cztery martwe ciała, do siebie przytulone oczekiwały na mnie. Noc była chłodna, a zabrakło im moich skrzydeł, by je otuliły!

Zamilkła Jaskółka, a wszystkie ptaszki szanowały jej boleść. Szary wróbel poleciał jaknajprędzej do sterty aby dobrym obiadem zatrzeć wspomnienie smutnego opowiadania.

Łamigłówka w kwadraciku.

(Rumak arabski).

Umieścić w kwadraciku z 9 podziałek: 3 A — 1 E — 1 I — 2 R — 2 W — aby odczytać w obu kierunkach. 1. Imię kobiece, bardzo starożytne. 2. Miejsce niebezpieczne. 3. Nazwa ptaka.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 29-go

Łamigłowi zgłoskowej:

LinoskoK—UcztA—BabeL—Lanckoroński—IbiS NiemcewicZ.

Lublin — Kalisz.

Skrzynka do listów.

Synogarlica zapytuje o warunki konkursu. Ej, Synogarliczko! czyliż to nie krótsza sprawa odczytać je w Pismie? Łamigłównę wydrukujemy.

Muszka z nad Horynia powiada, że lubi muszki; chyba tam nad Horyniem nie są tak dokuczliwe, jak tu nad Wisłą. Ponieważ Lilijka ma dostać fotografią, więc zapewne będzie i druga dla Gołąbki pocztowej.

Mała Amazonka może korespondować z każdą panią, której pseudonym jej się podoba. My wyborem kierować nie możemy, wszystkie korespondentki są nam równie miłe, każdą zaś znamy o tyle, co i Amazonkę.

Kropelka rosy druga może dla odróżnienia od pierwszej dodać do tego ładnego pseudonimu jaki przymiotnik, np. „Kropelka rosy srebrzysta”, czy dobrze? Zagadka trafnie odgadnięta.

Bułanka słusznie mówi, wielka to przyjemność z własnej pracy doczekać się dochodu. Niemała to i dla nas uciecha, że kochana Bułanka uzbierane z gospodarstwa pieniążki na prenumeratę Pisemka przeznaczają; to najlepsza tego Pisemka pochwała, z ochotą widocznie jest czytane.

Kanarek prosi o wydrukowanie liścików, ale jakich? Teraz nie otrzymaliśmy żadnego, a dawniejsze, jeżeli nie były drukowane, nie dadzą się już odszukać. Gołąbka odpisze osobno. Łamigłówka nie jest dobra, trzeba dobrać dwa wyrazy, jakiś związek z sobą mające

Jutrzenka różana może pozostać teraz przy tym pseudonymie, chociaż i tamten był ładny. My tu nie mieliśmy tak pięknej pogody, zazdrościmy Jutrzence tych miłych majówek.

Kochana Muchołówko! Czy ci przyjemnie w Mrozach? Bo nam w Helenówku bardzo. Odpisz prędko Biedronce Warszawskiej.

Kochana Gamo C dur! Powiedz mi, dla czego ty taki mały próźniaczek, że do „Wieczorów” nie piszesz? Nawet i do konkursu nie należałaś, mówiłaś to samo mojej Mamie. Chętniebym była z nią do Krakowa pojechała, żeby z tobą pogawędzić trochę, ale szkoła, szkoła, moja Gamo! Tymczasem ściskam cię przez „Wiecz.” twoją blondynka z Cieszyna.

Cni Współkorespondenci! Wchodząc w wasze grono, uważam za stosowne nieznaną mą osobę wam przedstawić. Zajmuję się alchemią, to jest nauką, dążącą do wynalezienia kamienia filozoficznego, eliksiru młodości i sposobu zmieniania wszelkich metali na złoto i srebro. Ofiarując wam wytworzoną przezemnie zagadkę, polecam się waszym względem Al-chemik.

(Prosimy bardzo szanownego Al-chemika, ażeby nam zaraz przysłał do redakcyi okruszynę kamienia filozoficznego, lub kropelkę eliksiru, jak tylko je wynajdzie. Przyp. red.)